

To wiatr zapędził ich na nasze piaski. Może tak powinnam rozpocząć, bo kto wie, czy nie wtedy morze przyniosło pierwszy znak. Jeden statek z połamanym masztem. Któż się tym przejął? Nie było to nic nowego. Nikt ze statku nie zginął, byli tylko wyczerpani. I jak się okazało – bez swojej ziemi, na którą mogliby wrócić i na której mogliby żyć, ich podróż bowiem była wygnaniem. Powiedzieli nam to potem, kiedy trochę wydobrżeli i nauczyli się już chociaż kilku słów w naszej mowie. O ludzie Kephtiu w portach i wielkich miastach Wschodniego Łądu oraz wielkiego półwyspu Anu, wysuniętego daleko w morze z linii ziem na wschodzie, w Rere, w Bybele, w Gerseo, powiadało się, że był pierwszym, który ujarzmił morze, że nasze statki były najlepsze, jakie dotąd zbudowano, a handlowe szlaki okrywaliśmy tajemnicą, ale pogłoski głosiły jeszcze, że nasi żeglarze wypływają nawet do zachodnich słupów Zielonego Oceanu. To wszystko zresztą było prawdą. Wiedzieli o nas tyle, co potrzeba, byśmy wzbudzali respekt i nie nam trzeba było potwierdzeń, że Kephtiu nie mieli sobie równych w żeglarskiej sztuce, skutnictwie i odwadze, jaką trzeba mieć pośród wzburzonych fal. O naszym bogactwie rozpowiadano tam legendy, nie raz i nie dwa przesadzone, lecz nie było śmiazków, którzy poważyliby się na wyprawę dla ich zagarnięcia, Kephtiu kontrolowali ocean, zaś o naszych potyczkach i walkach z piratami, których dzięki swym okrętom i łucznikom wyparliśmy z tych wód, każdy pamiętał do dziś, choć długie lata upłynęły od tego czasu. I właśnie tu, na Wyspę, dumę wszystkich Kephtiu rozsianych po pobliskich wyspach i wysepkach, przywiódł Aharianów z Gerseo morski traf, kapryśny los. Nazwa ich plemienia, przecież nam znana, była dla nas za długa do wymawiania, więc mówiliśmy o nim w skrócie – Ahi. Sztorm wyparł ich sprzed Eiro, a potem rzucił na skalistą wysepkę u wrót portu w Kanyssie. A morski lud przyjął ich gościnnie, bo nie pierwszyna to dla nas przysposabiać rozbitków albo wygnańców bez ojczyzny. Nigdy nie powiedzieli dokładnie, dlaczego zostali wygnani, zrozumieliśmy wtedy tylko tyle, że pochodzą z dobrych rodów i to właśnie było przyczyną ich niedoli. Inni ich naczelnicy czy bazilee, jak na nich mówili, z jakiegoś powodu bali się ich. Aharianie żyli od lat na Wschodnim Łądzie, w zakolu olbrzymiego półwyspu Anu, blisko ludów Dardeni, Kati, Anauka, Iriuna, Akarit, Luwi i innych podległych potędze państwa Nysyte, chociaż nie brakło ich także na kilku nieodległych od Łądu wyspach, a nawet w dolinach i na wybrzeżach Poszarpanego Wybrzeża, dużego łądu leżącego na północ od Wyspy.

Ale nie stąd pochodzili ich przodkowie, setki lat bowiem ich lud przemieszczał się z północy, z krainy, której już nikt od wielu pokoleń nie pamiętał. Wschodni Łąd był też ziemią naszych przodków, którzy tysiące lat temu przybyli na Wyspę, choć niektórzy mieszkańcy przybyli skądinąd, z południa, z Kairo albo z Lebei. Ucieszyło nas to, bo było tak, jakbyśmy byli trochę spokrewnieni. Ale czas zmienia ziemię, zmienia ludy i nic nigdy nie jest takie samo, dlaczego, chociaż wiedzieliśmy o tym dobrze, zaniechaliśmy tej przestrogi? Bo byli młodzi, śmiali, piękni i w niczym nam nie zagrażający? Bo patrzyli z zachwytem na nasze dziewczęta, co sprawiało im z kolei niewątpliwą przyjemność, malującą się w ich oczach? Teraz pamiętam, jak zaczęły naraz wyżej unosić głowy, prostować plecy, uśmiechać się częściej w ich obecności. Pozostali z nami, a ci, którzy zostali kadume naszych dziewcząt pobudowali domy, uprawiali winnice, oliwki i pszenicę, wyprawiali skóry, obrabiali kamień albo pracowali w portach i na statkach, byli jak my. Inni zostali gośćmi naszych domów, najczęściej w pobliżu Kanyssy. Nie rozpowiadano o ich pobycie, tak było wygodniej i dla rozbitków, i dla gospodarzy naszej Wyspy, szczególnie dla nich. Gdyby bowiem ci z Gerseo zażądali kiedyś ich powrotu, musieliby albo wdać się z nimi w spór albo – zaprzeczając świętej dla nas zasadzie gościny – wydać ich. Arawan był wśród nich kimś w rodzaju bazilee, zamieszkał u starego Kamisso, kilka uliczek od mojego domu. Zaledwie kilka lat minęło. Nie zaniepokoiło nas przez ten czas ani to, że często spotykali się sami, bez nas, rozmawiając w swoim języku nie wiadomo o czym, ani to, że udawali się często z naszymi żeglarzami na Wschodni Łąd i w trakcie handlowych transakcji, tego całego zamieszania, jaki zawsze panuje w portach, znikali na kilka dni i nocy, może wtedy spotykając się ze swoimi współplemieńcami. Ani wreszcie ich prośba, ażeby jeszcze kilkudziesięciu z Ahi mogło osiąść na Wyspie, ludzi z ich klanów zagrożonych przez żadnego władcy tego czy innego naczelnika. Uzyskali na to zgodę samego Pateha i Keresi, władców naszego miasta, naszych kammu. Z podziwem patrzyliśmy, jak wspaniałe mają miecze w zdobionych pochwach, sztylety, brązowe, grawerowane tarcze, skórzane, wytłaczane napierśniki, niektóre z kościanych płytek. Nigdy co prawda nie mieliśmy uwagi do broni, po co, kiedy nie wojowaliśmy przecież ze sobą, a nasze statki pływające po

rozległych wodach Zielonego Oceanu nie przywoziły złych wieści z pobliskiego i dalszego świata. Nawet tam, gdzie mieszkali Pateh i Keresi nie wznosiliśmy wysokich murów dla bezpieczeństwa, chroniła ich wszak nasza miłość, łaska Erienne i wielkiego Minna. A ich broń zachwycała nas po prostu dlatego, że była pięknie wykonana. Kochaliśmy piękne rzeczy. Na Erienne – byliśmy zadufani, byliśmy głupi.